



Kryminał z myszką

49

Urwany ślad

Kazimierz
Korkozowicz

Kazimierz Korkozowicz

URWANY ŚLAD

Kryminał z myszką – Tom 49

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-35-5

Copyright © Tomasz Korkozowicz

Tekst: KOM-PAKT, Warszawa 1993

Mecenas Szymon Pożywka – z przyczyn których nie lubił wspominać – już nie prowadził kancelarii adwokackiej. Nie znaczy to wszakże, że nie miał swoich, i to nawet stałych klientów. Poza poradami prawnymi nie unikał też innych możliwości zarobkowania, które jednak niczym fotograficzne błony, były wrażliwe na światło dzienne.

Był to starszy, szczupły, niskiego wzrostu człowieczek o twarzy, która w tłumie niczym nie zwracała uwagi. Miał kulistą głowę, o płowych włosach obrastających tylko jej boki i ostro zakończony nos, przypominający dziób ptaka. Nosił okulary w staromodnej oprawie, które opadały mu często, więc spoglądał na swego rozmówcę ponad nimi, lub krótkim gestem podsuwał palcem do góry.

W stosunkach z ludźmi, choć przebiegły i chciwy, był ugrzeczniony i zawsze gotów do udzielenia pomocy. Jak zwykł podkreślać – zupełnie bezinteresownie. Potem okazywało się, że jednak powstawały różne, nieprzewidziane koszty, w rezultacie znacznie przewyższające stosowane normy.

Pokój służący do przyjmowania klientów, miał wejście wprost z podestu, co dla pana Pożywki stanowiło wielką zaletę. Staroświeckie biurko, za którym siedział, było już mocno odrapane. Pokrywały je różnego rodzaju plamy; stare fornirowanie było miejscami odłupane, świecące jasnymi bliznami, a niektóre z bocznych szuflad miały urwane uchwyty.

Na biurku leżało nieco papierów, stał równie staroświecki kałamarz z wyschniętymi resztkami atramentu w pustych zbiornikach. Gabinetowa lampa ukrywała się pod nadpalonym przez żarówkę abażurem. Jedynym nowoczesnym przedmiotem był telefon, którego jednak chyba nikt dawno nie odkurzał, tak jak stert papierów i jakichś teczek spoczywających na półkach szafy, stojącej za plecami siedzącego.

Ten spoglądał w okno w zamyśleniu bębniąc palcami po leżących przed nim papierach. Po chwili podrapał się w chudą szyję i nachylił nad nimi, ale czytanie przerwał mu sygnał telefonu. Sięgnął po słuchawkę i rzucił krótko:

– Słucham...

– Chcę mówić z Szymonem Pożywką – głos był oschły i władczy, co były mecenas ocenił od razu, więc rzucił z ugrzecznieniem:

– Jestem przy aparacie. Czym mogę służyć?

– Czy już rozmawiał pan z Żerdowiczem? Przyjmuje pan propozycję?

– Tak... Był, rozmawiałem z nim... – odpowiedział z wahaniem pan Pożywka, po czym, jakby zdobywając się na odwagę, dorzucił:

– Przepraszam pana, ale pragnąłbym wiedzieć, z kim mówię...

W odpowiedzi usłyszał ironiczne parsknięcie, potem opryskliwe słowa:

– Bez wygłupów, idioto! Albo przyjmujesz propozycję na podanych warunkach albo kończmy rozmowę!

Pożywka poczuł suchość w gardle, bo przypomniał sobie zadanie, jakie miał wykonać i związane z nim ryzyko. Ale jednocześnie uprzytomnił sobie także wysokość ofiarowanego za to wynagrodzenia, co powstrzymało go od odmownej odpowiedzi, jaką jeszcze rano postanowił udzielić. Toteż zamilkł ogarnięty rozterką i pełen wahania.

Jednak głos nie dał mu czasu na zbyt długie rozmyślenia, bo krótko ponaglił:

– No więc? Tak, albo nie?

Pożywka z trudem przełknął ślinę i mając przed oczami już tylko cyfrę ofiarowanej kwoty, rzucił z determinacją:

– Dobrze, zgadzam się wykonać to zlecenie.

– Zatem wkrótce otrzymasz zapowiadzaną zaliczkę oraz numer telefonu, który masz zapamiętać, a nie zapisywać. Będiesz mógł z niego korzystać tylko w wyjątkowo ważnych wypadkach koniecznego porozumienia – przeprowadzenie sprawy należy jednak tylko do ciebie, więc byle czym nie zawracaj głowy! Numer telefonu jest zastrzeżony. Jeśli

spróbowałbyś dochodzić do kogo należy, będzie to ciekawość niezaspokojona, ale też i ostatnia w twoim życiu. Zostałem zrozumiany?

– Tak, został pan zrozumiany! – mecenas mimo woli skłonił się przy aparacie.

Rozległ się stuk odkładanej słuchawki, ale pan Pożywka swoją jeszcze chwilę trzymał w rękę, zanim wreszcie wolno ją odłożył.

Wymieniony w odbytej rozmowie Henryk Żerdowicz, obrotny pośrednik w handlu nieruchomościami, był tęgim mężczyzną o pełnych, stale zaczerwienionych policzkach i dobrodusznym uśmiechu. Dobroduszości tej mógł jednak zawierzyć tylko ten, kto nie potrafił należycie ocenić przebiegłości spojrzenia jego czarnych oczek.

Tego samego dnia, ale nieco wcześniej, i on odbył telefoniczną rozmowę. Cekał dłuższą chwilę, zanim usłyszał znany już sobie, nieco ochryply głos.

– Tu Żerdowicz – rzucił wówczas do słuchawki. – Zlecenie wykonałem zgodnie z otrzymanym poleceniem...

– Tak, wiem o tym.

– Czy będzie jeszcze coś do załatwienia?

– Owszem. Dziś o jedenastej wieczorem na poprzednim miejscu wręczę ci kopertę z pieniędzmi dla Pożywki. Wraz z pokwitowaniem, które ma podpisać. Po załatwieniu czekam na telefon – wówczas wyznaczę miejsce kolejnego spotkania celem odebrania pokwitowania i wręczenia obiecanego wynagrodzenia.

To zakończenie rozmowy podobało się Żerdowiczowi najbardziej.

W czasie późniejszych codziennych zajęć, już po wykonaniu zlecenia, parokrotnie z przyjemnością przypominał sobie o czekającym go spotkaniu i spodziewanym szczodrym honorarium. Ze wzmożonym apetytem zjadł więc w domu zwykłą kolację, a potem mając jeszcze nieco czasu, zabrał się do przeglądania gazety.

Wreszcie, po kolejnym spojrzeniu na zegarek, wstał i zbliżył się do okna.

W ciemnościach ogarniających miasto jaśniał gąszcz oświetlonych okien malejących wraz z oddaleniem, by wreszcie rozmazać się w tle niewidocznego horyzontu. Biegącą zaś w dole ulicę znaczył rząd jasnych punktów towarzyszących jej latarni. W ich blasku połyskiwały krople mżącego deszczu – niby sypiące się okruchy pokruszonego szkła.

Znów spojrzał na zegarek. Minęła zaledwie dziesiąta, jednak wyznaczone na jedenastą spotkanie znajdowało się na odległym miejscu, pora więc było ruszać.

Sprawdził, czy ma w portfelu pokwitowanie Pożywki, naciągnął nieprzemakalny płaszcz i obrzuciwszy pokój lustrującym spojrzeniem, zgasił za sobą światło.

Na ulicy nastawił kołnierz, bo chociaż letni deszcz był ciepły i ledwie mżył, to jednak groził dostaniem się za koszulę. Do przystanku autobusowego nie było daleko, więc rażno ruszył przed siebie.

Mokre trotuary lśniły wodą. Światła połyskiwały na kałużach, a z kropel deszczu tworzyły zasłonę migających iskerek. Żerdowicz, starając się omijać co większe kałuże, szedł skulony, z rękami w kieszeniach płaszcza.

Autobus o tej porze był na wpół pusty, więc znalazł miejsce siedzące, a potem oglądał przez ociekającą wodą szybę, jak w świetle sklepowych wystaw ukazywały się i znikwały sylwetki przechodniów z rozpostartymi nad głową parasolami. Jednocześnie z nieustającym zadowoleniem myślał o wynagrodzeniu, które wkrótce schowa do kieszeni. Jak na tak znikomy trud, jaki poniósł, wyznaczona zapłata była nadspodziewanie hojna. Widać zleceńodawca nieoczekiwanie przybył do jego szczupłego pomieszczenia – które dla prestiżu zwykł nazywać biurem – musiał być zamożny, a sprawa, którą zlecał dla niego ważna, bo nie wdawał się w żadne targi, sam wyznaczył zapłatę i równie ostro żądał założenia kłódki na gębę.

Autobus opustoszał, a za szybami zniknęły wystawy sklepowe. Latarnie uliczne stały się teraz jedynymi źródłami światła. Nasuwały się i uciekały do tyłu, aż wreszcie zamieniły się w krąg otaczający nieduży plac końcowej pętli.

Żerdowicz wstał i skierował się do wyjścia. Z ciemnego wnętrza przystankowej wiaty wysunęło się kilka postaci. Minął je i ruszył przed siebie w ciemność nocy.

Betonowe płyty chodnika wkrótce się skończyły i poczuł pod nogami ubity żużel. Zadowolony, że nie musi brnąć po błocie, szedł szybko, wpatrując się w świecący przed nim punkt dalekiej latarni. Mijał tkwiące za siatkowymi ogrodzeniami parterowe domki, patrzące w ciemność czarnymi szybami okien. Jedynie w niektórych spoza zaciągniętych zasłon mżyło światło.

Wiedział, że wkrótce dotrze do ogródków działkowych, gdzie będzie na niego czekał samochód z kierowcą, który po otrzymaniu pokwitowania Pożywki, wręczy mu jego należność.

Wkrótce minął samotną latarnię. Przechodząc pod nią spojrzął na zegarek i z zadowoleniem stwierdził, że stawiał się na czas. Kiedy znów ogarnęła go ciemność, ujrzał świecące punkty świateł postojowych, które – podobne kocim oczom – zdawały się w niego wpatrywać z mroków nocy.

Przyspieszył kroku i wkrótce znalazł się przy samochodzie. Przeszedł przez jezdnię, w podnieceniu nie zważając na błoto, bo biegła tu już tylko zwykła droga, i zbliżył się do czekającego wozu.

Szyba przednich drzwiczek opuściła się na jego widok i ukazała się zza niej twarz kierowcy. W ciemności nie mógł rozróżnić jej rysów, zresztą nie był ich ciekaw. Wyciągnął portfel i podał mu pokwitowanie, zainteresowany tylko odebraniem pieniędzy.

Kartka papieru została odebrana i we wnętrzu wozu zabłysło nikłe światełko małej elektrycznej latarki. Kierowca przeczytał uważnie kartkę, zgasił bez słowa światło i wrzucił otrzymane pokwitowanie do skrytki pod deską rozdzielczą. Dopiero teraz, kiedy miał go tuż przed sobą, Żerdowicz stwierdził, że był to ten sam mężczyzna, który dawał mu zlecenie.

– W porządku? – spytał go z porozumiewawczym uśmiechem.

– W porządku – usłyszał odpowiedź, a potem obietnicę: – Pora zatem, abyś otrzymał należność...

Mężczyzna sięgnął w zanadrze płaszcza i wyciągnął dłoń. Jednak zamiast oczekiwanych banknotów Żerdowicz z przerażeniem ujrzał lekki połysk oksydowanego pistoletu i czarny otwór lufy skierowane w jego pierś. Nie zdążył już odskoczyć ani nawet krzyknąć. Rozległy się dwa szybkie strzały. Czerwone języki ognia trysnęły raz po raz ku niemu i ugodzony w serce, zwałił się na ziemię, szeroko rozpryskując swym ciężkim ciałem wodę kałuży.

Silnik zawarczał ostrzej i samochód nagłym zrywem poderwał się z miejsca. Oddalał się szybko. Dwa czerwone punkty jego tylnych świateł wkrótce zniknęły w ciemności. Ta sama ciemność pokryła również rozciągnięte w błocie ulicy, nieruchome ciało.

W rogu dużej sali klubu sportowego, za czarnym blokiem pianina, tkwił siwy, chudy pianista, wygrywając rytmicznie skoczną melodię. Wtórowało jej miarowe liczenie instruktorki, prowadzącej ćwiczenia grupy dziewcząt ubranych w barwne, różnokolorowe stroje gimnastyczne: – Raz dwa... Raz dwa...

Instruktorka ćwicząca wraz z nimi przekroczyła już chyba trzydziestkę. Wąskie biodra, które przechodziły w mocne uda i zgrabne nogi, a także krągłość stromych piersi, opiętych przylegającym do ciała, kolorowym trykotem, ujmowały jej jednak lat, tworząc rysunek kuszącej sylwetki kobiecej.

Ciemne włosy miała przystrzyżone po męsku, nieco drapieżne rysy twarzy, a jej równie ciemne oczy i biel zębów w rozchylonych wargach, połyskiwały na tle śniadej cery.

Uderzenia gimnastycznych pantofli, takty muzyki i dyktowany przez nią rytm ćwiczeń, zlewały się w mieszaninę dźwięków wypełniających salę ćwiczeń.

Prowadziła je Iwona Gracówna, która po licznych sposobach zarobkowania na życie, obecnie wykorzystywała swoje dotąd zdobyte kwalifikacje jako instruktorka aerobiku. Rozpoczęła bowiem swą karierę życiową najpierw od pomocnicy estradowego maga, potem była barmanką, z kolei kabaretową tancerką, a wreszcie cyrkową wołyżerką.

W pewnej chwili rzuciła okiem na zegar wiszący na ścianie i zawołała:

– Koniec – na dzisiaj dość!

Pianista urwał w pół taktu, a dziewczęta skupiły się i ruszyły ku drzwiom prowadzącym do natrysków i ubieralni. Jedną z ostatnich była dziewczyna o blond włosach spiętych w węzeł na szczycie głowy. Jej zgrabnej sylwetce o długich nogach i wąskich biodrach otyłość zdawała się nie zagrażać, toteż uprawiała aerobik chyba tylko dla potrzeby ruchu. W pociągłej twarzyczce o foremnym nosku, błyszczała para zielonych oczu, a na pełnych zmysłowego uroku wargach, gościł przekorny uśmiech.

Zatrzymała się przy drzwiach z krótkim przekleństwem; chwytając się za ramię:

– O psiakrew! Ramiączko mi pękło! – zwróciła głowę ku instruktorce, która szła za nią.

– Dobrze, że teraz, a nie w czasie ćwiczeń... Iwona stanęła przy dziewczynie, która przytrzymała opadający brzeg koszulki grożący obnażeniem piersi.

– Ale co ja zrobię? – rzuciła bezradnie. – Nie mam czym zszyć...

– Znajdę nici u siebie. Idź do mojej garderoby, zaraz tam przyjdę!

Dziewczyna miała na imię Anita i była córką znanego malarza Ksawerego Ćmieli. W ćwiczącej obecnie grupie była ulubienicą instruktorki z przyczyn, o których miała okazję wkrótce się przekonać. Teraz jednak, z uśmiechem posłanym zamiast podziękowania, ruszyła ku pomieszczeniu służącemu Gracównie za osobistą garderobę.

Czekając na jej nadejście ulokowała się w fotelu i zajęła czas przeglądaniem jakiegoś tygodnika. Kiedy zaś Iwona zjawiła się, otrzymała od niej pudełko z przyborami do szycia wraz z krótkim poleceniem:

– Masz, ściągaj koszulkę i zszywaj, co ci tam pękło.

Anita spojrzała z wahaniem na Gracównę. Ta widać zrozumiała, o co jej chodzi, bo rzuciła z rozbawieniem:

– Cóż to, krępujesz się głuptasie? Chyba niczym nie różnimy się między sobą?

Podeszła do dziewczyny nadal siedzącej w fotelu, oparła dłonie na jej ramionach, po czym lekko przesunęła je po szyi.

– Pozwól, pomogę ci... – szepnęła. – Nie potrzebujesz się wstydzić.

Kiedy Anita już bez oporu przyjęła pomoc, Iwona nachyliła się i przytuliła głowę do głowy dziewczyny przesuwając jednocześnie końcami palców po jej piersi.

– Nie chciałaś ich pokazać, a są tak piękne... – rzuciła nieco chropawym głosem.

– Co... co robisz.... Przestań, ja nie chcę...!

Próbowała się odsunąć, ale Iwona przytrzymała ją za ramiona.

– Czyżbyś naprawdę nie chciała? Raczej bronisz się przed sobą niż przede mną... Ale jeśli będziesz dla mnie miła, będę się mogła odwdziżyć...

Anita uwolniła się od przytrzymujących ją dłoni, pytając ze zdziwieniem:

– Odwdziżyć? Czym?!

Iwona nachyliła się nad nią i spoglądając w oczy zniżyła głos:

– Ostrzeżeniem... Ostrzeżeniem przed niebezpieczeństwem.

– Co mi może grozić? Przecież nie mam wrogów!

– Ty nie, ale ktoś bardzo ci bliski...

– Czyżby mój ojciec? – już ze strachem spytała dziewczyna. – Co mu grozi?

– Nic więcej ci nie powiem – przynajmniej teraz. Już i tak powiedziałam za dużo, ale powiem i resztę, jeśli nie będziesz się mnie bała...

Ujęła pod brodę twarz dziewczyny i unosząc ją ku górze, musnęła wargami jej usta. Potem dorzuciła:

– Nie lękaj się kochanie... A ta wiadomość warta twojej życzliwości...

Emerytowany prokurator Anatol Duktowicz wstał z fotela i skierował się do drzwi gabinetu, których klamka poruszyła się wraz z cicho rzuconymi, gniewnymi słowami. Kiedy je otworzył, na progu ukazała się korpulentna postać pani Odowicz, z tacą zastawioną filiżankami. Trzymała ją oburącz, toteż zapewne dlatego miała trudności z naciśnięciem klamki.

Istotnie, padło wyjaśnienie, rzucone rozdrażnionym tonem:

– Nie mogłam dać sobie rady... – Jednocześnie skierowała się do stolika otoczonego ciężkimi, klubowymi fotelami. Majestatycznie przeszła po dywanie zaścielającym podłogę i zaczęła rozstawiać filiżanki. Potem, również bez pośpiechu, napełniła je ze szklanego dzbanka.

Wnętrze gabinetu wypełnił zapach świeżo parzonej kawy. Siedzący w fotelach mężczyźni przyglądali się w milczeniu jej czynnościom. A kiedy już z pustą tacą skierowała się ku drzwiom, Duktowicz rzucił w ślad za nią:

– Dziękuję, pani Mario... Kawa pachnie zupełnie nieźle...

W odpowiedzi usłyszał tylko niezrozumiałe burknięcie i pani Odowicz równie nieśpiesznie opuściła gabinet.

– Jak zwykle z grymasami? – zauważył Ćmiela, przyjaciel gospodarza, jeszcze z czasów młodości.

– Które jak zwykle Anatol znosi cierpliwie... – drwiąco, ale z uśmiechem, uzupełnił mecenas Mak.

– Gdyż na to zasługuje. Już ponad trzydzieści lat korzystam z jej opieki i kulinarnych zdolności! – Duktowicz odważemnił uśmiech.

– Opieki cennej zwłaszcza teraz, kiedy przeszedłeś na emeryturę. A jej kulinarne uzdolnienia miałem okazję już nieraz oceniać... – uzupełnił Ćmiela, który miał wiele sposobności, by przekonać się o gastronomicznych zdolnościach gospodyni.

Łączyła go bowiem z prokuratorem przyjaźń zadzierzgnięta jeszcze na szkolnej ławie. Trwała też i nadal mimo różnych zawodów, jakie obrali. Duktowicz ukończył prawo, Ćmiela – Akademię Sztuk Pięknych. Oparła się i kryzysowi wówczas, gdy znów się zetknęli po ukończeniu studiów i obaj ulegli urokowi tej samej kobiety. Wkrótce po przyjeździe młodego małżeństwa przyszła na świat Anita, obecnie pełna uroku dziewczyna. Po śmierci matki, która nastąpiła w parę lat po jej urodzeniu, chowała się pod opieką ojca i nadal mieszkała z nim na piętrze willi, której parter – jako właściciel – Ćmiela wynajął przyjacielowi. W ten sposób mieszkali niejako pod jednym dachem, Anita zaś darzyła starego kawalera uczuciem niemal równym, jaki żywiła do ojca. Duktowicz zaś ze swej strony nawet może jeszcze w większym stopniu odważemniał to uczucie. Ci zatem, którzy znali miłosną historię obu przyjaciół, posuwali się nawet do snucia podejrzeń na ten temat.

Pozostałe fotele otaczające okrągły stół, na którym parowały teraz filiżanki kawy, zajmowali dwaj inni, zaprzyjaźnieni z gospodarzem goście, również jak on, prawnicy: czynny jeszcze, choć także w podeszłym wieku, prokurator Dora i znany w mieście adwokat, Zenon Mak.

To on właśnie podjął wątek rzuconej przez Ćmielę wzmianki o emeryturze ich przyjaciela. Uniósł do ust filiżankę i dmuchając ostrożnie na gorący płyn, upił mały łyk i zauważył:

– Wobec tego co dziś dzieje się w kraju, wcześniejsze przejście na emeryturę w rezultacie wychodzi ci na korzyść.

– Jaką znów korzyść?... – obruszył się Duktowicz. – Nie wiem, co masz na myśli!

– Cóż, jak nie spokój, mój drogi, biorąc pod uwagę powód twojej emerytury! Z tego bowiem co wiem, trafiła ci się w ręce sprawa, która w jakiś sposób wyszła na jaw – nielegalnego przekazania za granicę ponad stu milionów dolarów! A zaczęło się to wszystko jeszcze w czasach okrągłego stołu. Wówczas to pewne osobistości zostały zaniepokojone twoją zbyt dużą dociekliwością, toteż kiedy nie pomogły uśmierzające aluzje, zostałeś po prostu przeniesiony na emeryturę, a twój następca okazał się bardziej miękki i śledztwo zostało zamknięte...

– Czyżby to było możliwe...? – obruszył się Ćmiela.

– Wówczas jeszcze tak – potwierdził Dora.

– Istotnie zetknąłem się z różnymi naciskami, perswazją, a nawet groźbami – przyznał Duktowicz.

– Ludziom, którzy maczali w niej palce, sprawa ta jeszcze i dziś odbiera spokój, mimo że akta pokrył kurz, a Anatol, o ile wiem, hoduje róże... – nieco zgryźliwie podsumował adwokat.

– Co wychodzi im na dobre, sądząc po tych sztamowych, które rozwijają się pięknie! – z humorem rzucił Ćmiela.

– No i właśnie skończyłem pisać pamiętnik... – tym samym tonem odpowiedział mu Duktowicz sięgając po filiżankę.

– Cóż to za pamiętniki? – zainteresował się Dora.

– Takie prokuratorskie wspomnienia... – pozornie niedbałym tonem wyjaśnił Duktowicz.

– Materiału ci chyba nie zabrakło...? – wtrącił Mak. – Bądź co bądź masz za sobą szmat zawodowej pracy...!

– Zbyt daleko wstecz nie sięgam, gdyż za żywe jest mi w pamięci to zatuszowane śledztwo. Toteż głównie ono jest tematem moich notatek, a że teraz nikt nie zagląda mi przez ramię, a cenzura należy do przeszłości, postanowiłem rzucić nieco światła na tę aferę.

– Ale pamiętaj, że stwarzasz zagrożenie, które na pewno połączy wysiłki pewnych ludzi dla uniemożliwienia ci publikacji twego pamiętnika. Dbając zaś o własną skórę, mogą nie przebierać w środkach, by uspokoić cię na dobre!

– Mimo to nie cofnę się przed wyciągnięciem tej afery na światło dzienne!

– Hm... – Dora skwitował to oświadczenie krótkim mruknięciem, po czym dorzucił po chwilowym milczeniu: – Sądzę, że nie tyle ci chodzi o ujawnienie prawdy, ile o odegranie się za odebranie sprawy...

– Nie mam zamiaru przeczyć, że powoduje mną i taka pobudka, bo jest to normalna ludzka reakcja. Ale po tylu różnych objawach obrażania prawa, z jakim przychodziło mi mieć do czynienia, niechże chociaż ten pamiętnik da świadectwo prawdzie!

– Brzmi to bardzo pięknie, ale w dalszym ciągu okazujesz upór. Oby znów nie był dla ciebie zgubny... – wtrącił Ćmiela.

– Chyba trochę przesadzasz Ksawery, z tego rodzaju obawami! – ironicznie prychnął Mak. – Ponosi cię zbytek wyobraźni.

– Strach i chęć zemsty, to dwie najsilniejsze podniety do działania... – Ćmiela nie ustępował.

– Jestem skłonny przyznać rację raczej Ksaweremu... – wtrącił Duktowicz z nieco ironicznym uśmiechem. – Ta szajka chyba istotnie jest w strachu...

Wszyscy trzej obrzucili go zaciekawionymi spojrzeniami.

– Co masz na myśli...? – Mak dał wyraz temu zaciekawieniu.

– Kilka dni temu miałem telefon. Ktoś dzwonił, nie podając nazwiska i zaproponował kupno pamiętnika i to za sporą sumę...

– Skąd wiedział, że go piszesz...?

– Z faktu, że opracowuję swoje wspomnienia, nie robiłem tajemnicy, więc nawet nie pytałem go o to.

– I coś mu odpowiedział...?

Duktowicz uśmiechnął się.

– Żeby mnie pocałował...

– Czy nie lepiej było nawiązać kontakt? Wiedziałbyś przynajmniej, kto składa ci propozycję. Mam na myśli nie zleceniodawców, którzy za nim stoją, bo na pewno żaden z nich nie ujawni się, ale twego bezpośredniego rozmówcę – wtrącił Dora.

– Masz rację, ale porwał mnie gniew, toteż pomyślałem sobie o tym dopiero po rzuceniu słuchawki.

– Sądzę, że dużo nie straciłeś, bo na pewno był to tylko pośrednik – zaopiniował Mak.

– Czy nie lepiej, abys jednak zrezygnował z tej problematycznej zemsty? – z troską w głosie rzucił Ćmiela.

– I ja jestem tego zdania – Dora poparł malarza. – Należy się liczyć, że po tej odpowiedzi nie poniechają dalszych działań. A nie wiadomo, jak dalece są wystraszeni. Od tego zaś zależą dalsze ich poczynania.

Duktowicz obrzucił przyjaciół kpiącym spojrzeniem.

– Czy chcecie usłyszeć odpowiedź, jaką już dałem tamtemu? – rzucił z uśmiechem.

– Przynajmniej dobrze schowaj te swoje bazgroły... – z troską w głosie zamknął temat Ćmiela.

*

Zza okna dochodziły przytłumione odgłosy ulicznego ruchu, chwilami przerywane głośniejszym zgrzytem tramwajowych kół lub wzmożonym warkotem samochodowego motoru.

Podinspektor Nawrot nie zwracał jednak uwagi na te hałasy. Pochylony nad rozłożonymi przed nim papierami, coś od czasu do czasu w nich notował lub podkreślał niektóre ustępy.

Był to mężczyzna o przyprószonych już siwizną skroniach, nieco zapadłych policzkach, mocno zarysowanych szczękach i suchym, lekko garbatym nosie. Koleiny zmarszczek po obu stronach jego wąskich warg, nadawały twarzy wyraz surowości.

W pewnej chwili odchylił się w fotelu i odsunawszy zmęczonym gestem papiery, sięgnął po fajkę. Nabijał ją z wolna, po czym sięgnął po leżące na biurku zapalki i właśnie pierwszy obłoczek dymu rozpływał się w powietrzu, kiedy rozległo się krótkie pukanie i na przyzwalające mruknięcie, na progu ukazała się zgrabna sylwetka komisarza Ożoga. Był istotnie przystojnym brunetem o opalanej twarzy i jak zwykle, starannie ubrany. Tym razem miał na sobie szare, flanelowe spodnie i wiatrówkę rozpiętą pod szyją, co pozwalało dojrzeć brzeg otaczającej ją, kolorowej chusty.

Podinspektor znał upodobania swego podwładnego, mimo to obrzucił go z lekka kpiącym spojrzeniem i na jego meldunek o stawieniu się, zamiast odpowiedzi zauważył: – Waszmość pan zapewne z popołudniowego spacerku?

Komisarz nie przejął się jednak sarkazmem przełożonego.

– Spacerek istotnie był i to nie lichi... – odpowiedział podchodząc do biurka.

– Siadaj zatem i mów... – Nawrot wskazał fajką krzesło po drugiej stronie biurka.

Ożóg skorzystał z pozwolenia, oświadczając z nieznacznym westchnieniem:

– Głupia sprawa... Będziemy z nią mieli sporo kłopotu.

– Daruj sobie komentarze i melduj!

– Nazywa się Henryk Żerdowicz i był pośrednikiem handlowym. Miał biuro, mały zresztą pokoik, na jednej z bocznych uliczek – Dworcowej. Zginął od dwóch kul, z których

jedna przebiła serce. Morderstwo miało miejsce na peryferiach miasta, w pobliżu ogródków działkowych. W portfelu posiadał ponad dwieście tysięcy, na palcu złotą obrączkę, a na ręce zegarek, więc motyw rabunkowy nie wchodził w rachubę.

– Dlaczego sądzisz, że sprawa przysporzy kłopotów?

– Jeśli bowiem odpada motyw rabunku, trudno będzie dojść przyczyn tego zabójstwa.

Poza tym trzeba będzie wyjaśnić, i to chyba przede wszystkim, co robił w tak odległym miejscu i o tak późnej porze?

– Jaką godzinę śmierci podał lekarz?

– Pomiędzy jedenastą, a dwunastą w nocy.

– Zapewne to jakiś porachunek osobisty. Być może naraził się jakiejś przestępczej szajce. Z pośrednikami różnie bywa – nie wszyscy są uczciwi.

– Nie wydaje mi się, aby byle opryszek posłużył się pistoletem. Poza tym miejsce zabójstwa wskazuje, że ofiara została tam zwabiona, co dowodzi działania z premedytacją. Gdyby zemsty dokonał zwykły rzezimieszek nie czyniłby tak dalece idących przygotowań, a posłużyłby się nożem, korzystając raczej ze sposobności...

– Hm... podinspektor Nawrot pociągnął parę razy fajkę, zanim zadał kolejne pytanie:

– Wspominałeś o obrączce. Czy rozmawiałeś z jego żoną?

– Nie, bo był wdowcem. Zajmował samotnie dwupokojowe mieszkanie na Szewskiej, pod piętnastym.

– A w jego biurze? Czy niczego ciekawego nie znalazłeś?

– Były tam jakieś rachunki, trochę ofert i zwykłej, handlowej korespondencji; zresztą nielicznej, co dowodzi, że Żerdowicz wolał swoje interesy prowadzić bez zbytej pisaniny.

– A przeszukanie w domu?

– Także niczego nie dało. Jest to skromnie umeblowane mieszkanie zwykłego, tak zwanego szarego człowieka...

– Który mimo to dostał dwie kule... – z nieznacznym sarkazmem zauważył podinspektor.

– No właśnie! Dlatego sądzę, że dopiero wykrycie, dlaczego zostały wystrzelone, ruszy sprawę z miejsca. Rabunek nie wchodzi w rachubę, sprawy miłosne chyba także nie, zważywszy na wiek denata. Pozostaje więc tylko zemsta. Ale z jakiego powodu?

– Jest jeszcze jeden motyw, którego nie wzięliśmy pod uwagę – mruknął w zamyśleniu podinspektor.

– A mianowicie? – Ożóg z zaciekawieniem spojrzał na zwierzchnika.

– Strach – mój Holmesie.

– Komu mógł zagrażać i czym, taki człowiek jak Żerdowicz?

– Chociażby niedyskrecją – a mówiąc potocznie, zwykłą gadaniną.

– Zatem musiałby brać udział w jakiejś przestępczej akcji: nie wydaje mi się jednak, aby był do tego zdolny. Przynajmniej sądząc z opinii sąsiadów, którzy oceniają go jako spokojnego i raczej tchórzliwego człowieka.

– Należy więc poszperać w jego przeszłości, choć wiem, że będzie to dość nudne zajęcie... – Nawrot pociągnął fajkę i dorzucił:

– A na miejscu przestępstwa? Niczego nie znaleziono? Chociażby łusek?

– Niczego, nawet łusek.

– Wątpię, by po ciemku sprawca ich szukał. Zapewne strzelał z samochodu, albo użył rewolweru. Są ślady opon?

– Wieczorem i nieomal od rana padał deszcz. Jeśli i były, to zostały gruntownie rozmyte.

– Istotnie, nie widać punktów zaczepienia, ale szukać należy. Zatem zabieraj się do roboty...

Ożóg wstał z krzesła, uważając ostatnie polecenie za zakończenie rozmowy.

Słoneczny ranek zapowiadał upalny dzień, więc były prokurator Duktowicz zasiadał do śniadania w pogodnym nastroju. Kiedy zaś pani Odowicz wniosła do jadalni przed chwilą ugotowane jajka, powitał ją z uśmiechem, po czym zawiadomił:

– Dziś wieczorem jadę do swojej samotni na Mazury. Trzeba sprawdzić, jak będą brały rybki! Przygotuj mi zatem, Mario, jakieś gorsze ubranie i zmianę bielizny...

– Życzę panu sędziemu dobrych połowów. Przyda się nieco lepszej ryby, niż te dorsze i morszczuki!

– Masz rację! Na myśl o szczupaczku z maselkiem czy karpia pod beszamelem, aż mnie w dołku ssie!

– Zrobi się, panie sędzio, zrobi! Aby było z czego! Długo pana nie będzie?

Duktowicz zastanawiał się przez chwilę:

– Myślę, że kilka dni tam posiedzę... Pieniądze chyba jeszcze masz, a jeśli nie, to ci zostawię.

– Nie trzeba zostawiać. Jeszcze wszystkich nie wydałam, a i spiżarka nie jest pusta!

– Zresztą długo nie zabawię. Jednak dobrze pilnuj mieszkania!

Wieczorem pan Duktowicz z walizką w ręku i torbą z wyposażeniem wędkarskim, ruszył na dworzec. Pani Odowicz została sama w pustym mieszkaniu.

Dzień po wyjeździe sędziego minął szybko, następny podobnie. Po śniadaniu wyszła na zakupy. Wróciła po godzinie i, mając jeszcze sporo czasu do przygotowania sobie obiadowego posiłku, sięgnęła po okulary, a potem zabrała się do przeglądania prasy. Popołudnie zeszło jej również spokojnie. Ulokowana w swoim wygodnym fotelu, spędziła czas na szydełkowej robocie. Odłożyła ją dopiero wtedy, kiedy za oknami zapaliły się uliczne latarnie, zwiastując rychłe nadejście wieczornych ciemności.

Wtedy właśnie u drzwi wejściowych rozległ się dzwonek.

Zaniepokojona, ale też i ciekawa przybysza, ruszyła do przedpokoju. Nie odsuwała jednak rygli, ale najpierw spojrzała przez wizjer.

Ujrzała młodą kobietę ubraną w szeroką spódnicę i czarną chustę z kolorowym szlakiem, zarzuconą na głowę. Za śniadej twarzy wpatrywała się w nią para ciemnych oczu, a pukiel także czarnych włosów wydostawał się spod chusty i okalał jeden z policzków.

– Czego Cyganka chce? – opryskliwie rzuciła przez drzwi pani Odowicz. – Ja wróżenia nie ciekawa!

– Nie wróżyć przyszłam, a sprzedać ci maść na twój reumatyzm – usłyszała odpowiedź.

– Skąd Cyganka wie, że mi dokucza? – zdziwiła się pani Maria.

– My, Cyganie, wiemy wszystko! Nie chcesz wróżby, to kart ci nie położę, ale z mojej maści wielki będziesz miała pożytek. Tydzień smarować się będziesz, a bóleści przez rok nie zaznasz!

– Z wami, Cyganami, nigdy nic nie wiadomo... – z wahaniem rzuciła pani Odowicz.

Cyganka od razu musiała to wahanie wyczuć, bo wzmogła naleganie.

– Czego się boisz? Ja sama jedna, przecież krzywdy ci nie zrobię, a lekarstwo mam dla ciebie jakiego nigdzie nie dostaniesz. I nie drogie, za słoik dasz parę złotych, a choroby się pozbędziesz!

– Już ja znam te wasze parę złotych! Jak przyjdzie do płacenia, to zaraz tego i owego żądacie na dokładkę!

Była to już niemal kapitulacja, tym bardziej, że pani Odowicz nie odchodziła od drzwi, podtrzymując rozmowę.

– Nie zażądał niczego! A za tę maść – wyciągnęła spod chustki słoik po drzemie z jakąś ciemną zawartością – dasz tylko trzy tysiączki! Ani grosika więcej, tylko byle trzy tysiączki!

Pani Maria jeszcze się wahała, ale możliwość pozbycia się bólów, które istotnie mocne ją trapiły, była zbyt silną pokusą, by nie otworzyć drzwi.

– No to chodźcie... – cofnęła się z progu, dając przejście. Wskazała drzwi prowadzące do kuchni, po czym ruszyła ze swoim gościem, nie spuszczać go z oczu.

Nastąpiły pouczenia dotyczące stosowania maści, ale prowadzone już na siedząco. Kiedy się skończyły, Cyganka zaproponowała, chowając otrzymane pieniądze pod chustę:

– Teraz, jeśli chcesz, mogę ci powrócić. Wyciągnęła karty a widząc odruch sprzeciwu gospodyni, dodała: – Nie bój się niczego dopłacać nie potrzebujesz! Dasz tylko szklaneczkę herbaty, bo suchość mam w gardle, że mówić trudno...

Nie czekając na decyzję położyła karty na stole i jakby sprawa była przesądzona, poleciła rozkazująco:

– Przelóż dwa razy...

Pani Odowicz już bez sprzeciwu wykonała polecenie, w duchu ciekawa, czego się dowie. Cyganka zaś przypomniała:

– Nastaw wodę, kochana... Niech się zagotuje w czasie wróżby.

Pani Maria napełniając czajnik i stawiając go na gazie, zachowywała jednak poprzednią ostrożność i nadal starała się nie spuszczać oczu z Cyganki. Ta jednak siedziała nie zwracając na nią uwagi i rozkładała karty. Kiedy zaś petentka zajęła znów miejsce naprzeciw niej, zaczęła mówić.

Wiadomości dotyczące przyszłych dni były na ogół pomyślne, parę wzmianek z przeszłości łatwo dało się dostosować do zaszłych zdarzeń, więc pani Maria była z wróżby zadowolona. Nalała herbatę do szklanek i postawiła je na stole, po czym z kolei obróciła się, by sięgnąć do szafki po cukiernicę.

Popijając herbatę, jeszcze pogawędziła z Cyganką, rada z wypełnienia wieczoru. Wkrótce jednak gość ją pożegnał, a niedługo potem poczuła ogarniającą ją senność, która po pewnym czasie stała się tak silna, że zrezygnowała z kolacji, by jak najprędzej znaleźć się w pościeli. I nawet nie wiedziała, kiedy zapadła w głęboki sen.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI